

J. POWALSKI.

# .. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

4

Kleszewski zawrócił do swej stancyi. Usta rozszerzyły mu się uśmiechem, którego już nie mógł powściągnąć. Zabrał się w zwykłym porządku do codziennych zajęć. Wszędzie było światło, słońce, błękit. Zrobił się dzień wiosenny, ciepły, cudny. Chłopi przy pracy pośpiewywali tu i ówdzie. Kraj wokół był jakby we mgle zielonej. Skowronki śpiewały nieustannie, traciło się słuch ich szczebiotu, i znów nagle spostrzegano się, że nie ustały ani na chwilę.

Przy rozdziale poczty, żołnierz przyniósł Kleszewskiemu list. Był od ojca.

Rozłożywszy ćwiartkę, przeczytał kilka wierszy skreślonych grubym piórem na bibulastym papierze. Ojciec polecał mu i nalegał, aby wziął urlop na dziesięć dni lub dwie niedziele, by pojechał do Warszawy po resztę sumy u pana Żelechowskiego, i by z nią przyjechał do domu, na co kładł nacisk.

— Szczęściem lustracja jest na ukończeniu, — pomyślał kapitan.

„Jeśli cię pytano“, pisał dalej ojciec, „jaki jest powód twojej o urlop prośby, odpowiedzieć możesz, iż oca twoiego choroba. Tak tedy pośpiesz się w spełnieniu tego, co ci poleciłem, i przybywaj do nas, niemieszając“.

W tem było coś niejasnego. Kapitan nie wierzył, by ojciec był chory, a jednocześnie odpychał myśl, by mu polecał kłamać. Postanowił nie jechać do Warszawy po sumę, tylko pożyczyc na miejscu tyleż. Wiedział u kogo możnaby znaleźć pieniądze. Pan Żelechowski zaś już nawet procentów nie opłacał. Zakrzętnął się koło sprawy. Otrzymałszy niespodzianie łatwo urlop, i z nieco większą trudnością u kilku kolegów bogatych prawie całą sumę, ruszył pewnego dnia przed świtem, z żołnierzem konno, gdyż droga w stronę Pułtuską była okropna, i dla wozu prawie nie do przebycia.

Po kilku dniach ciepłych i prawdziwie wiosennych na początku kwietnia, nastąpiły zimna, przymrozki ze śniegiem, ścinające lodem kałuże po drogach.

Kleszewski jechał w gęstej mgle białej, ostrożnie z powodu ślizgawicy. Na piersiach czuł woreczek z pieniędzmi, było mu lekko i radośnie mimo przykrej drogi. Kolanami i ręką przez wodze czuł się zlanym w jedno z uważnie i dzielnie idącym koniem. Siodło chrzęściło czasem chrzęstem nowej skóry, chlupotało błoto i cienkie szybki lodu na kałużach trzaskały pod kopytami konia. Za sobą słyszał chrzęst kroków konia pod żołnierzem Ptysiem, i cmokanie jego na wierzchowca. Zresztą wkoło cisza. Zrzadka odzywały się ptaszki, wrony. Wszystkie głosy tonęły we mgle. Czasem wylaniał się na polu we mgle. Jak cien zgęstniały, plug zaprzężony w woły, z oracem.

Wjchawszy w las, porzucili rozbitą i rozlaną w kałuże drogę, i puścili się żywiej pod sosnami. Grunt był miękki od mchu i igliwia, mokry i sprężysty jak dywan. Pnie sosen goniły w górę, coraz czerwieniejsze ku konarom, które rozkładały się w szare kopuły, ledwie widne, rozplynięte w dymnem powietrzu. Przedziwna woń wiosenna, jakby żywicy i mokrych fiołków, napelniała cichy i ponury las.

Kleszewski wyjechał z obozu żołnierzem, ale zwolna roztopiała się marsowość, zwięzła ją ciche, mgliste powietrze, otrząsał kłus konia po miękiej ziemi. Zapominał się, wracał do dawno przerwanej znajomości intymnej z drzewami, z lasem, z życiem ziemi. Z weselem w duszy i z dziwną lekkością chwytali jego oczy wszystkie światła, postaci, znaki tego świata. Nozdrza łowiły rzeźwą woń, ciało rozkoszowało się ruchem na swobodzie. Uważał z przyjemnem zdziwieniem spryt i rozwagę swego konia, jego kłus dobry, równy, lekki. Był to już koń nabyty na wielką wyprawę, cisawy, z czarną grzywą, z białą gwiazdką między oczyma na czole, z białą zadnią pęciną. Nie był z roslých, ale zdawał się żelaznej budowy, zdrowy, lekki a mocny, o piersi szerokiej, chrapach rozwartych, krzyżach prostych, długiej łopatce.

Biegli w milczeniu lasem wzdłuż gościńca kilka stajni. Nie dojeżdżając do Serocka wzięli się w lewo, aby skrócić drogę. W karczmie stanęli na popas południowy. Ledwie konie odetchnęły a jeźdźcy przegryźli suchą kiebasę z chlebem, ruszyli dalej, teraz już szczerem lasem, ostrożnie z powodu błot, to

znów szybko po twardych od mokrego piasku leśnych drogach. Po południu zrobiło się jaśniej, szare niebo pożółkło ku zachodowi. Wyjechali znów na gościniec koło Gzowa, i wnet dobili się do Pułtuską. Stare, sławne niegdyś miasteczko tonęło w błocie. Na wysokim brzegu nad Narwią stały mury gmachów pojezuickich, wspaniałe, choć opuszczone. Minęli je, kapitan im bliżej domu, ten niecierpliwiej się śpieszył.

Teraz droga była jeszcze gorsza, glina oślizgła, powybijane jamy, wykroty, zdradzieckiej głębi kałuże. Brali się to na lewo, to na prawo, przemyskając się bokami polem. Minęli las, łąki.

Zachód zaczerwienił się pięknie. W błękitniejszej mgle i dymach ukazała się wieś Strzelce, cała utulona pod sadami, w delikatnej, gęstej koronce nagich gałęzi szaro-błękitnych. Droga była okropna. Ominęli wieś polami. Kapitan zuchwale skrócił jazdę, przecinając łąn oziminy, już śmiejącej się zielonością, iście szmaragdową. Potem ścieżka, głęboko wryta między gliniaste brzegi, na których macierzanka i dziewanny jeszcze się nie odrodziły, tylko żółte „ostromlece“. Przebiegli popod parkan dworskiego ogrodu, wjechali na dziedziniec gospodarski.

Ciepło dymiło się z obór, ze stajen, był spokojny ruch wieczorowy ludzi oporządzających bydło i konie.

Wbiegli przez wrota o ciężkim szczycie gontowym na drózkę ku dworowi. Stanęli przed gankiem, żołnierz zabrał konia, a kapitan znalazł się w wysokiej sieni o wyłożonej cegłą podłodze. Zrzucił kożuszek, ocierał o słomiankę buty.

Otworzyły się drzwi: naraz zaroilo się koło niego, porwano go, krzyczano, śmiano się. Bracia, siostry, pytania, okrzyki, śmiechy, uściski. Ale on się śpieszył do ojca, do matki, pytał o nich, i wyrывая się dzieciom, szedł żywo do pokojów. Odrazu na progu natknął się na ojca.

Więc chodził, nie leżał, był zdrow? I natychmiast ujrzał gorzkie cierpienie starej twarzy, białe włosy i oczy jeszcze bardziej zmęczone i jeszcze smutniejsze. Przejęty wskroś przywitał się w milczeniu.

— Tak prędko? — zdziwił się ojciec, rozjaśniony.

— Nie byłem w Warszawie.

— A suma! — zawołał.

— Mam, pożyczylem sam u kolegów, bo na pana Żelechowskiego nie wiem, ile czasu bym stracił.

Opowiadał śpiesznie o swych próbach bezowocnych uzyskania procentu. Ojciec pokręcił lekko głową.

— Musisz zatem stąd prosto jechać do Warszawy, i przycisnąć go, bo jakże zwrócisz kolegom? Zold wam płacą?

— Płacą nieźle, proszę tatusia, ale cywilnym etat podobno okroili i nie wypłacają nic albo bardzo mało.

Wtem drzwi w głębi otworzyły się szybko, dając przejście matce.

Była to kobieta wysoka, o wyniosłej głowie. Miała jeszcze teraz bogate włosy ciemno-blond, choć nieco poszarzałe, białe czoło, brwi jak sobole, oczy wspaniałe, dumne, ciemno-błękitne, żywe, mądre, jasno patrzące. Twarz przywiedła, lecz zachowała czystość linii policzków i brody, nic nie zgrubiały.

Uśmiechnęła się do syna, weszła już z tym uśmiechem od progu. Wyciągnęła ręce do niego, ojciec się usunął. Chwyciwszy syna, przytuliła jego głowę do piersi i całowała go szybko, mocno po czole i twarzy, przemawiając urywanymi słowami. Potem puściła go nagle, cofnęła się, objęła spojrzeniem od stóp do głów, jeszcze i jeszcze. Zawołała, chwytając kluczyki wiszące u paska:

— A tyś pewnie zgłodniały, Ignasiu. Zaraz, zaraz. — Odeszła. Antosia, najstarsza córka, panienka lat szesnastu, pospieszyła za nią.

Kapitan spojrzał na ojca: ten uśmiechał się kątem ust, z niewyraźną goryczą i machnął ręką. Zdał sobie nagle sprawę, że jest jakieś napięcie przykre między ojcem a matką, zupełnie dla niego nowe.

Tymczasem krzątano się już w głębi domu i coraz to jakiś szcęk albo rozkaz dolatywał wyraźniej. Kapitan, umywszy się i zmieniwszy ubiór, powrócił. Ojciec przysunął fotel z wysokim oparciem i niskimi poręczami do wysokiego okna o kwadrato-wych, małych szybach i usiadł z westchnieniem ulgi zmęczonego człowieka.

Pytał syna o nowiny. Ten odpowiadał stojąc, oparty ręką o mały sekretarzyk o bombiastym przodzie i wygiętych nóżkach. Dzieci nie śmiały przeszkadzać i czekały, odszedłszy gdzieindziej, na nowość.

Dom był niebardzo stary, zbudowany za pierwszych lat rządów ostatniego króla. Miał front okazały, jak je budowano w czasach saskich. Wysokie okna, między niemi pilastry, dawały mu od zewnątrz prawie pałacowe oblicze. Wewnątrz pokoje były obszerne i o bardzo wysokich sufitach. Wszystkie framugi drzewem wykładane, sztukaterie nad dzwiami,

w guście tych, które pułtuskim majster oglądał w jezuickiej Kolegiacie rodzinnego miasta. Wszystko to było zakrojone na większą skalę i na obfitsze życie, niż to, które płynęło teraz coraz bardziej proste, coraz bardziej poza normami dawnej wystawności, coraz cichsze.

Ojciec mówił:

— Józio z Bielskim przygotowuje się do egzaminu popisowego w szkole aplikacyjnej. Sam się naparł, pozwoliłem, ale teraz coś widzę innego już w głowie i mówił mi Bielski, że już nie z tą usilnością pracuje. Ale mniejsza. Stary już jestem i wiem, że życie łatwiejszą i krótszą jest zagadką, niż się tym zdaje, którzy mają duże apetyty i srożą się i przygotowują aż do śmierci.

— Tatus chce go oddać do szkoły inżynierii?

— Skoro taki duch czasu, niech idzie. Pocięszam się, że gdy nieledwie z matematyczną logicznością synowie odwrotne mają gusta od ojców, wnuki moje może zażyją umiejętności i sztuk, których synowie nie zakosztują. Choć i to niesłuszne: będą albowiem, jak zawsze, tem, czem ich czas uczyni. Ale mniejsza.

Wtem dano znać, że kolacya podana. Uczyniła to najmłodsza z dzieci dziewczynka, Teklunia, nie dochodząca jeszcze lat dziesięciu. Była przyswojona do ojca, jak łaskawa sarenka, której wszystko wolno, a która nigdy nie traci wrażliwej płochliwości.

Gdy zasiedli do stołu, okazało się, że dwór miał więcej mieszkańców, niż można było sądzić po jego zadumanej ciszy.

Do kolacyi powychodzili jacyś starzy rezydenci, jakieś stare krewne, sędziwa Francuzka, emigrantka, z surową dumą na wąskiej twarzy w małych oczach pod wypukłymi powiekami i o brwiach wysoko podniesionych. Ta była zarazem mistrzynią obu dziewcząt, starszej Antosi i młodszej Tekluni, które obok niej siedziały.

Wśród szarzyzny starych i obojętnych głów tych ludzi, którzy już załatwili swe życie, kwitły, jak żywe wcielenie przenośni o latoroślach, młode twarze i postaci czworga w domu dzieci. Wszystko to było jasne, blondyni różnych odcieni. Najjaśniejszy wśród nich był ów Józio, chłopiec smukły, o skupionej twarzy i piękności, którą miewają chłopcy na krótko przed epoką dojrzałości. Linie jego twarzy, zwłaszcza zarys szcęk od ucha, od szyi do brody i zarys czoła koło skroni, miały urok, czystość i wytworność rzadkiego klejnotu. Nieporównany czar miał jego uśmiech i ruch powiek, mądre i płonące ustawicznie ciemno-błękitne oczy. Drugi, Stanisław, był to chłopiec o jednych mięśniach i żywych oczach niebiesko-szarych. Włosy ciemno-blond o srebrnych tonach. Ten odcień posrebrzenia miał zarówno w oczach, we włosach, w aksamitnej szadzi różowej twarzy. Brał życie seryo, co znać było z poważnej miny, rzucił spojrzenia uważne, krótkie, na rodziców, na dyrektora Bielskiego, na potrawy i na ostatnią nowość, brata-kapitana.

Obie córki były ciemniejsze w tonie. Nie miały tej jednolitości odcienia, która cechowała braci. Włosy miały barwy palonego złota, bledsze u młodszej, twarze białe, usta wiśniowe, oczy szaro-zielone, chwilami prawie czarne u obydwóch. Wybitniejszy rozdział barw dawał im większe bogactwo, wyrazistość indywidualną. Szczególniej u starszej. Była to panienka smukła, gibka, szczupła. Wyniosła mała głowa połyskiwała zewsząd czystym złotem na przagubach falistych, gęstych i ciasno upiętych włosów. Czarne brwi, ciemno-szare oczy, usta mocno czerwone, odznaczały się dobitnie przy niezwyklej białości cery. Była to bogata białeść, pod którą czuło się gorącą i bujną, młodą krew.

Antosia zachowywała się nadzwyczaj poprawnie i wytwornie, wedle zasad wszczepionych przez madame. Przytem jej uważne oczy szare, pełne skupionej ufności, podnosiły się często na ojca, matkę i Ignacego, ale najczęściej na ojca, z głębokim zastanowieniem.

Teraz przy świetle młody kapitan lepiej mógł zorientować się w położeniu. Spostrzegł niezwykle rys surowości koło ust matki, ledwie znaczne ściągnięcie brwi, częstą niecierpliwą w tonie.

Rozmowa toczyła się o brakach gospodarstwa z powodu biedy: jedzono kaszę ledwie omaszczoną codzień na kolacyę, nie było paszy dla krów, owce chorowały.

Od końca stołu zabierał głos basem cięższy i rańniejszy z dwu starych dziadów-rezydentów. Z hałasem pociągając nosem i podsuwając w górę ciężkie, siwe i wilgotne wąsy, przypominał uparcie podobną zimę i wiosnę w powiecie bydgoskim, roku Pańskiego 1769.

— Nieurodzaj, — powiadał, chrząkając dudniącym, chryplym basem, — był jak roku zeszłego,